

BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



Z MARTWYCHWSTANIE.

TRZECIEGO DNIA.

I mówiły między sobą: Kto nam odwali kamień odedrzwii grobowych?

Św. Marek, XVI, 3.

Wielki sarkofag nocy zaczął się rozjaśniać, wieko ciemności podnosiło się coraz wyżej, a błękit wpływał w powietrze, czysty, co chwila jaśniejszy, bledszy.

Gwiazdy tonęły i rozplwały się jak łzy w temle półjasnem, a na krańcu niebios jak wylona lampka nocna stał księżyc przydmuchnięty. Nocy już nie było a dnia jeszcze nie. W drzewach oliwnych coś się ruszało, na listkach fig stała rosa, a z owoców spadały kropelki chłodne w trawę.

Palmy spały przy drodze, pustej, szerokiej, wiodącej za miasto; po wczorajszym Sabacie odpoczywano dłużej, piękna Jeruzalem drzemała we mgle.

Na drodze szły dwie niewiasty, lekko, pośpiesznie a ostrożnie; obie niosły słoje i puszki z wonnemi maściami jakimi u Izraelitów namaszczano ciała umarłych; obie były zadumane, obie Marye, obie ciche, a jednak każda inna.

Starsza, Salome, wyższa, silniejsza, szła równym i pewnym krokiem, w sobie skupiona, prawie bez ruchu rąk i głowy; wybitny jej profil rysował się na tle ciemnej zasłony okręconej koło głowy, czoła prawie widać nie było, a na pełnych, jeszcze pięknych ustach zamkniętych, siedział spokojny, łagodny uśmiech poważnej niewiasty. W oczach nachylonych ku ziemi tlało smętne zamyślenie, dumiała nad czemś co ją pochłaniało, ale tajemniczych obaw nie umiając rozwiązać, korzyła się skromnie przed wielkością niedostępną tajemnicy.

Druga, młoda, rąca, ruchliwa, biegła lub przystawała wedle prądu uczuć który nią miotał naprzemian; coś ją wstrzymywało chwilami i bolesna bruzda łamała cudne czoło, coś ją ciągnęło nagle i płomień żarliwy rozpałał jej twarz przesłaniczną.

Oczyrna mierzyła noc niknącą i wstający dzień; płomień jej wejrzenia niespokojnie się zrywał i wystrzelał na świat nieledwie z tragiczną siłą, to znów jakby rosa poranna je zwilżała i spadały te oczy ku dołowi, pełne słodkich, weselnych świtów.

Z rozchylonych ust leciał oddech szybki, raczej ciągle westchnienia, a ręce tuliły do piersi kosztowną puszkę wonności z namiętym smutkiem lub egzaltowaną nadzieją.

Szły obie milcząc, dopiero gdy daleko były za miastem, odezwiała się młodsza z żalnym niepokojem:

— Kto nam odwali kamień ode drzwi grobowych?

— Może kto ze straży pomoże... pozwoli! — odparła Salome.

— Ach! oni? nie na to tam stoja, aby nam pomóc! hyleby przystąpić dali! Odpychali nas od żywego, odpychali od umierającego, odepchną może od pogrzebanego! Oh! Mistrzu samotny w grobie, oh!

— Magdaleno! uspokój się, szlochaniem nie odwalisz kamienia, rozwagi nam trzeba i czasu.

— Czasu! — wybuchnęła Marya — oto dni troje ubiega, a my do niego idziemy—do grobu! idziemy namaszczać martwego! Gdzież nasz Pan, żywy, przemawiający do nas słów swoich płomieniem, patrzący na nas zbawiającym wzrokiem? Oh, Salome! tyś spokojna taka, a mnie się zdaje chwilami, że cały gmach przyszłości, cały wieczności przybytek wali się na mnie! ten grób duszę moją pochłania! Mistrzu, gdzie Ty! Ale tak... to miłość się

we mnie trwoży i rozrzewnia, a nadzieja jednak rośnie, wiara mnie porywa, Salome, oh, prędzej! Patrz, tam, nad czarną górą oliwną ostatnia gaśnie gwiazda, tam, widzisz, nad Golgotą, jak jasno już, patrz, oto świt, oto dzień, trzeci dzień! Słuchaj, czujesz?... On zmartwychwstał! wiem na pewno, moje serce szuka i czuje już Mistrza, nie—w grobie!

Zatrzymała się, i zachwyc one oczy wlepiła w słońce, które pierwszymi promieniami wstępowało na zielony aksamitny tron wzgórzy. Wiatr odwiał jej lekką zasłonę, światło objęło podniesioną głowę, nadziejska radość zaięła całą jej postać w nadprzyrodzonej niemal nieruchomości.

— Magdaleno, spieszysz a stoisz! pójdźmy, bo dzień się podniesie i ludzie nam przeszkodą.

— Salome... serce mi drży... albo to może ziemia?... czujesz? to pod Jego stopami drży ziemia z radości!

I poszły obie dalej. Droga się zwężała, między krzewami tamarysów i fig stała się prawie ścieżką tylko, i zginęła w końcu wśród trawy, a z cienia wystąpiła skalna grotka.

Kobiety spojrzały z przerażeniem i radosną trwożą—kamień był odwalony od grobu, a na nim siedział cudny anioł, a było wejście jego jako błyskawica, a odzienie jego jako śnieg.

— Nie lękajcie się—rzekł do niewiast.

Podniosły oczy na niego i pytać nie śmiały. A anioł uspokajał je wejrzeniem, gościnne ręce przed nimi otworzył i mówił niewymownie słodkim głosem:

— Oto patrzcie, tego, którego szukacie, nie masz go tu, albowiem powstał jako był powiedział.

— Zmartwychwstał! — krzyknęła Magdalena i głowę zanurzyła w mokre od rosy zioła, a włosy jej płynęły jak słońce między stokroćkami i trawą razem z wonnościami, które upuściła.

Salome ukłękła i chwaliła Pana prostymi słowy modlitwy.

Słońce było się podniosło tymczasem, ptaki uderzyły w hymn tryumfalny, zioła otwarły swe kadzielnice, mgła przylegała kornie do ziemi, ciepłe, rokoszne powietrze napełniło piersi przestrzeni, i przyroda cała jak trybularz ofiarny pałała, woulała, śpiewała, głosząc zgodne, radosne resurecturis.

Potem niewiasty weszły do grobu gdzie śmiertelne prześcieradła i chusty leżały na ziemi, i w uniesieniu szczęścia z grobu tego wyszły opowiedzieć wieść boską rozręsknionym uczniom Pana.

Spieszno im było, z ścieżki weszły na drogę, złotą teraz i wesołą, błękit jaskrawy pałał dniem niedzielnym, białe owce gryzły trawę na łąkach, kupki dzieci siedziały na skrajach pól wadząc się hałaśliwie, pasterska fletnia dźwięczała z oddali, a śnieżny gołąb szybował wysoko i przenikał niebiosu swem skrzydłem.

Salome teraz szła prędzej, upewniona spokojem swej duszy nierozzerwanej już żadnem oczekiwaniem. Magdalena postępowała w skupieniu, pasując się w swem odrodzonym sercu z nadmiarem boskiego szczęścia, które ją wyrzywało z ziemi wrażeń a podnosiło w nadzwyczajne dziedziny widzenia... Świat był już teraz dla niej tylko kamieniem który anioł życia wiecznego miał odwalić... Z grobowca doczesności wyrzywała się radosna — w nieskończoność...

Oh, wy, wielkie gościńce dusz, drogi ludzkości, steczki pragnień, manowce namiętności, zawrotne pokusy elipsy, ścieżki natchnień, głęboko żłobione cierpień koleje, ileż na was leży kamieni do odwalenia!

Szczęśna.

POGA WĘDKA.

Coraz jaśniej na błękicie,
Wiosna rzuca czar—
Wraca szczęście, wraca życie,
Sto rozbitych wiar...

Pst—poeto! Śpiew twój jest bardzo piękny, lecz zdania w nim zawarte o całe tysiące mil odleciały od prawdy i nie ich z rzeczywistością nie łączy; widocznie, że wyśpiewałeś go pod wpływem techników wiosennych, które mają moc oszukańcza, mogą być zresztą najwerniejszym odbiciem nastroju twej duszy w danej chwili, bo nie wierzę, ażeby to był jej stan trwały. Ogólnie rzeczy biorąc, niema się z czego tak bardzo cieszyć, jakkolwiek światu nie grożą żadne gwałtowne przewroty, potopy albo trzęsienia ziemi, obserwacje astronomiczne nie mówią o gwieździe jakiejś z powłóczystym ogonem, któraby zabiegła drogę naszej ziemi i powstrzymała ją w dalszej wędrówce. Nie — tak straszliwych katastrof nie przewidujemy wcale, a nawet Menelek odjął ochotę Europie do mieszania się w sprawy cudze.

Dawniej, każde zjawienie się wiosny, było różnoznaczone—z wojną. Obecnie inaczej się dzieje, choć zaprzeczyć nie można, że wiosna zawsze nie mały wpływ wywiera na ludzkie organizmy i kognicję energję im nadaje. Naco nam zachodzić do parlamentu rzymskiego gdzie o mało posłowie i ministrowie za czupryny się nie wzięli — u nas, gdy niema takich awantur, to dla tego tylko, że parlamentu niema, ale mamy za to Belle-vue, gdzie energja reprezentantek podkasanej muzy, właściwy sobie wpływ znalazła. Pobity się tam sobie dwie panienki: śpiewaczka Marja From i tancerka Elwira Samuś. Biedna Samuś, widząc, że ją czeka los Baratierego wezwwała pomocy swej koleżanki przeciw temu Menelikowi płci niewieściej, ale ów Menelik w spódnicę szklanką w łeb palnął spieszącą z ratunkiem, a gdy odsiecz przybyła w postaci jeszcze jednej przyjaciółki: żeński negus, o mało tej drugiej oczu nie wydrapał. Kurtyna zapadła, bo za kulisami wzmagął się szmer i jęki rannych i głos tryumfatorki... a do sali przepełnionej widzami wpływało tymczasowo ożywe technienie wiosny, a poeta o czarach jej pisał i wielkiem święcie pokjo.

Ciepło! Warszawa wyroila się z suteryn, pięter i poddaszy na miasto i za miasto. Mrowisko ludzi rozlewa się w różnych kierunkach, płynie z ulic w ulice za miejskie rogatki. Brak tam jeszcze zieleni, lecz nie brak ciepła i słońca a piersi spragnione są powietrza, powietrza i powietrza... Powiększył się ruch tramwajowy a lokomotywka drogi Wilanowskiej zasyczała z większą energją. Na polu mokotowskim wrze przygotowawcza robota do zabaw ludowych podczas świąt: zakręca się młyny diabelskie, zawrotnem kołem poruszają się karuzele, nęcące słupy staną, wzywając śmiałków do energicznych wdrapywań się, dowcipy arlekinów poruszają tłum do śmiechu — kto żyje: szewc od kopyta, czeladnik kowalski od młota i — ja, podążymy sobie na pole mokotowskie.

Ani spostrzeżemy się jak się rozszerzą granice Warszawy i zajmą obszar ogromny. Nie wiele to lat temu, jak rogatki mokotowskie przy Koszykowej (dziś) ulicy stały na zbiegu z Marszałkowską, aż oto miasto posunęło się dalej i dotknęło samego już Mokotowa. Po upływie lat dziesięciu może—kto wie—zaboreza Warszawa i Mokotów pochłonie i ramiona swoje aż do Wierzbna wyciągnie. Przeczują już snadź ten czas niedaleki spekulanci, bo zamiast zakupywać place puste znajdujące się jeszcze gdzie nie gdzie w obrębie miasta — wołą przenosić się do Mokotowa i nadzieję swoją na jego upewnić hipotece.

Mokotów zmienił się do niepoznania, zielone niwy, ciągnące się wiorst parę koło Wierzbna, znikły już zupełnie, ostatnie uprawne pole między rogatkami a parkiem mokotowskim w tych dniach rozparcelowane zostało na drobne place, na wielu z nich zaczęto już budowy fabryk i kamienie. Przewidujący aferzyści pośród placów utworzyli

dwie nowe ulice poprzeczne, prostopadłe do szosy i—zabrukowali. W samym Mokotowie, wznosi się także kilka kamienic w stylu miejskim—i, doprawdy, że niedaleki ten czas, kiedy Warszawie znów jedna dzielnica przybędzie.

Z dziedziny wynalazków chcemy tu zanotować wiadomość jedną, tem chętniej, że to: ani Francuz wymyślił, ani Niemiec zrobił, tylko—tylko rodak nasz, niejaki p. Kuczabiński, fabrykant fortepianów w Czerniowcach.

Dotychczas łączenie i rozdzielanie wagonów było manipulacją bardzo uciążliwą, połączoną nawet z pewnem niebezpieczeństwem dla wykonania tego zadania. Że tak jest, świadczą o tem liczne wypadki kalectwa, przygniecenia i zgniecenia. Z temi smutnymi faktami łączy się jeszcze i ta niewygodna, że pociąg musi stawać by dokonać można było powyższej operacji. We wszystkich państwach, dyrekcyje kolejowe rozpisywały konkursy w celu podania sposobu uniknięcia tej niedogodności, ale wszelkie usiłowania dotąd pozostały bez skutku. Aż oto dzienniki lwowskie podają pocieszającą wiadomość, że wymieniony p. Kuczabiński podał zadaniu i wynalazł sposób odznaczający się prostotą budowy i łatwością łączenia i rozłączania wagonów podczas biegu, za pomocą pociśnienia właściwej sprężyny umieszczonej w wagonie czy parowozie. Wagony mogą być rozdzielane kolejno, jeden po drugim lub razem, według potrzeby, bez najmniejszej przeszkody w ruchu całego pociągu. Model p. Kuczabińskiego pokazany inżynierom kolejowym w Czerniowcach zyskał zupełne uznanie, w skutek czego wynalazca stara się o uzyskanie patentu.

Do rzędu już nie wynalazków, lecz tych szczęśliwych myśli, które czasem ludzkiej głowie przychodzą, zaliczamy próbę, bardzo pożyteczną dla ogrodnictwa krajowego, jaką przedsięwzięła redakcja „Ogrodnika Polskiego“.

W znaczeniu handlowym, jako też i dla samego powodzenia uprawy, nie małą jest rzeczą znajomość odmian warzyw. Redakcja—czytamy—pragnąc szczególnie między włościanami rozprzestrzenieć znajomość tych odmian a zarazem dowiedzieć się, czy też same odmiany dobrze udają się w każdej okolicy kraju — zamierza corocznie rozdawać bezpłatnie włościanom pewną ilość nasion warzywnych. Myśl zaś tę przeprowadzić ma w ten sposób, że każdemu z prenumeratorów na prowincyi mieszkających, przeszle dobór nasion warzywnych, ze zobowiązaniem oddania ich pod uprawę włościaninowi, zasługującemu na zaufanie. (Zadania mają być przesyłane do redakcyi przed 15 Kwietnia r. b.) O rezultatach po dokonaniu prób, włościanie nieomieszkają donieść zainteresowanym o tem osobom, co oczywiście w zimie dopiero może nastąpić, a redakcja „Ogrodnika“ w łamach swojego pisma, ogłosi wszelkie spostrzeżenia dotyczące uprawy tych odmian. Gdy próba się uda, redakcja zamierza w przyszłości myśl powyższą zastosować do owoców i kwiatów.

Co przeciw temu powiedzieć?

Nie — życzyć tylko należy, ażeby wszyscy panowie prenumeratorowie „Ogrodnika“ mieszkający na wsi, wzięli się szczerze do wykonania podanej myśli, tak pożytecznej dla naszego ogrodnictwa. Aby tylko tu na przeszkodzie nie stanęło to osławione lenistwo nasze, to odkładanie „na jutro“, które najczęściej wszystko w niepamięć pogrąża.

W tych dniach odbył się popis fechtunkowy uczniów zakładów fechtunkowo-gimnastycznych pp. M. Olszewskiego i Juljana Michaux. Myśl do tego popisu podał p. Olszewski znany nauczyciel gimnastyki, w chęci by ogół nasz poznał, że nie zamiera jeszcze zręczność i zamięłowanie do spotkań się na ostre. Do walki o „Nagrode zachęty“ stanęli młodzi zapaśnicy szkolni ujawniający niemały temperament, albowiem przy pierwszym spotkaniu się, gdy krew rycerska zawrzała w żyłach, zapomnieli o wszelkich prawidłach fechtunku i rąbali na oślep, tnąc w lewo to w prawo. Do nagrody „Wielkiej“ stanęli już ci, którzy skończyli cały kurs fechtunku na rapiry — a jakkolwiek i oni nie grzeszyli krwią zimną, dali jednak dowód, że technikę mieli bardzo dobrze wyrobioną. Doskonale walczył p. G. Ujazdowski, uderzając szybko i oryentując się w zasłonach — otrzymał też złoty medal; medal srebrny przypadł p. Zielińskiemu, brązowy — Czaińskiemu. Natomiast nie zarzucić nie można było

spotkaniu się na florety pp. Miłoszewskiego i Duszka, walczących o żeton brązowy. To już byli poważni zapaśnicy — wszystkie pehnięcia wzorowe, zręczność i zimna krew przytem cechowała bojowników.

W ostatnich czasach był dosyć ożywiony ruch na naszych wystawach obrazów. Obecnie p. Józef Rapacki, powróciwszy z Zakopanego, gdzie dłuższy czas dla poprawy nadwątłego zdrowia przebywał — przywiózł z sobą cały cykl widoków tatrzańskich, które będziemy oglądać na wystawie Towarzystwa Zachęty. W salonie zaś Krywulki otwarta została czasowa wystawa obrazów Stanisława Maśłowskiego.

Ale cóż słyszeć z „Panoramą Tatr?“

Nie dobrze, z powodu pewnej zwłoki, która może nastąpić w wystawieniu budynku.

Jak wiadomo, budynek miał stanąć na Dynasach, lecz — dowiadujemy się, iż miejsce wybrane pod budowę okazało się nieodpowiednie z powodu potrzeby zakładania fundamentów zbyt głęboko. Prawdopodobnie więc będą nowe poszukiwania innego miejsca, niemiła zwłoka — ale cóż robić, gdy nie wszystko nam idzie jak z płatka.

Jedynie tylko wyścigi nie zawodzą nas nigdy. Na torze mokotowskim prowadzą się już roboty ażeby i konie i ludzie mieli wygodę. Do nowości tu należy totalizator — na górze, t. j. na dole i na górze! Przegrywający będą mogli przynajmniej wzrok swój napawać pięknym widokiem i ochładzać rozpalone czoła powiewami przelotnych zefirów. Nowością także będą dzwonki elektryczne u startów, dające niezwłocznie znak o ruszeniu koni i pozwalające całej machinie wyścigowej funkcyjować z niebywałą dotąd akuracnością.

— Zobaczmy się?

— Nie! — bo co mię interesują zapasy nóg końskich? spędzenie zaś godzin kilku wśród gwaru i wrzawy — to strata czasu. Mając czas wolny, wolę zapuścić się w cienie drzew willanowskiego parku, przeprawić się przez łachę wiślaną do Morysinka i być sam z naturą, z pieśniami ptaków i szmerem liści zielonych. Lecz nie odmawiam nikogo od wybieczki na tor mokotowski: niech każdy robi, co chce i właściwą usposobieniu swemu znajduje rozrywkę, byleby się — nie zgrywać, bo ze wszystkich namiętności, najgorsza jest namiętność do gry; wieleż to, z powodu niej przykazań połamało się bożych.

Oto co nam świeżo podają dzienniki.

„Przed kilku tygodniami przybył do Monte-Carlo młodzieniec pewien, znany w szerokich kołach warszawskich, z silnem postanowieniem wygrania w ruletę olbrzymiego majątku. (Czemż ta siła postanowień w innych wypadkach jest tak krucha!) Zabrał z sobą całą mienie wynoszące rs. 20,000 i w krótkim czasie przegrał wszystko, przyjaciel zaś jego p. Fr. D. z którym wyjechał z Warszawy wygrał sumę bardzo znaczną. Zgrany młodzieniec poprosił przyjaciela o pożyczkę pewnej kwoty, wystarczającej na powrót do kraju. Przyjaciel zadość uczynił prośbie, pieniędzy pożyczyl i wkrótce obaj udali się w podróż. Towarzystwo jednak młodego gracza, dla pana D. było bardzo niebezpieczne: X postanowił zamordować przyjaciela i ograbić z pieniędzy, zamiar zaś ten miał doprowadzić do skutku pomiędzy Mentoną a Ventimigią — za pomocą trującego narkotyku. Zamach nie udał się: młodzieńca aresztowały władze francuskie, oddając go sądziemu śledczemu i prokuratorowi. Podobno czyniono już kroki w celu uwolnienia go od odpowiedzialności, ale usiłowania były bezskuteczne.“

Straszne to — jeżeli jest prawdziwe.

Jakież łagodne sądy muszą wypadać dla nędzarzy, wychowanych jak chwast na polu?... Nie — potrzeba częściej myśli podnosić do Boga, któregośmy w sercach naszych pogrzebli. Oto za chwilę do uszów naszych doleci śpiew:

„Alleluja!“

??

K E D Y D R O G A ?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

W kilka godzin potem, gdy wieczór spokojny, ciepły szarym zmrokiem otulił ziemię i na ulicach niezwykle ożywionego miasta milkły zwolna hałaśliwe odgłosy, w gabinecie p. Klemensa mocno o poręcz fotela oparta stała Janina.

Błada była i przygnębiona. Na ustach wpół otwartych drżały słowa, które widocznie lękała się wymówić; w głębokich jej oczach malował się wyrzut, więc spuszczała je ku ziemi, nie patrząc na ojca.

P. Klemens kazał sobie podać wino i cygara i rozparty wygodnie w fotelu przyglądał się córce.

Zadziwiła go jej postawa, zadziwiło zaleźnione spojrzenie, u niej, tak hardo zwykle i śmiało patrzącej.

— Cóż mi powiesz, córeczko? — pyta swoim słodko modulowanym głosem. — Siadaj, proszę! W tej postawie stojącej wyglądasz jak egzekutor jaki.

Śmiał się, lecz Janina przy ostatnim wyrazie ojca oblała się rumieńcem.

Czy istotnie tak nie było?

— Drogi ojcze! — zaczęła zwolna, podnosząc oczy, lecz głos nagle uwiązł jej w gardle.

Spojrzenie, jakie rzuciła na twarz ojca, przypominało jej niezbyt dawne chwile, kiedy to z dumą i radością wieszała się u jego szyi, kiedy każde słowo z tych ust ukochanych było dla niej wyrocznią. Powiązawszy w jedną całość rozmaite spostrzeżenia w ciągu ostatnich lat poczynione, wiedziała już, że nikt i nie nie powróci jej wiary w to co utraciła, jak nikt z serca hardego dziecka nie wyrwie ostrego ciernia jaki wbiła tam ujawniająca się z każdą chwilą więcej nieszlachetność ojca.

A przecież ona go kocha, kocha gorąco i zamiast słów gorzkich, które jej się na usta cisną, radaby zmęczoną głowę oprzeć na jego ramieniu, przygarnąć się do serca ojcowskiego z pieszczotą.

Mimowoli głośnie westchnienie wyrwało się z jej piersi i obudziło uwagę p. Klemensa.

Odsunął kieliszek i spojrzał badawczo na córkę.

— Zaczynasz intrygować mnie, Janiu — odezwał się. — Czy żałosna twoja minka jest owocem samotności kilkugodzinnej, czy może wydarzyło ci się w nieobecności naszej coś nieprzyjemnego?

Usmiechał się do niej swobodnie, Janina oparła się mocniej o poręcz fotela, jak gdyby sił jej brakło i przyzywając energię, rzekła wprost:

— Pani Drobnińska była tu dzisiaj, ojcze... Potrzebuje pieniędzy...

P. Klemens drgnął nieznacznie.

— Kto taki? — pyta, udając zdziwienie.

Janina przyglądała mu się badawczo.

— Pani Drobnińska żąda pieniędzy swoich — powtórzyła dobitnie. — Przychodziła wielokrotnie do ciebie, ojcze, lecz nie chciałeś jej przyjąć.

P. Klemens przygryzł wargę i z pod oka spojrzał na córkę.

Trzeba, że ona właśnie uchyliła rożek zasłony, którą on tak zręcznie, jak mu się zdawało, rozpostarł po nad czynnościami swemi.

Usiłował jednak pokryć zmieszanie i ze swobodą zupełną spytał:

— Czy chcesz udzielić jej wsparcia, kochanie?

Błade usta Janiny drgnęły bólem. Jakto? Więc zapomniał?

— Ona nie żąda wsparcia, ojcze — rzekła, opanowując wzruszenie. — Prosi tylko o zaległe procenty od kapitaliku, który ci powierzyła. Mąż jej chorobą złożony, a nie ma go za co ratować; dzieci źle odżywione i głodne i tyle innych potrzeb...

P. Klemens otoczył się wonnym obłoczkiem dymu wyborowego cygara, poczem odezwał się spokojnie:

— Unikaj w poglądzie na powszednie sprawy tego świata sentymentalności, Jankol! Widzę, żeś na słowo zaraz uwierzyła Drobińskiej i bolejesz nad nią..

— To chyba aż nadto usprawiedliwione, ojcze — zauważyła Janina, lecz wnet potem promyk nadziei zajaśniał w jej oczach.

Może Drobińska powiedziała nieprawdę, może to był pretekst do wyłudzenia od niej datku jakiego? Ludzie się nieraz rozmaitych chwytają środków...

— Ojczulku, — pyta żywo — więc Drobińska skłamała?

P. Klemens znalazł się w kłopotliwym położeniu. — Jak ty zaraz tragicznie wszystko bierzesz, Janiu! — rzekł wymijająco, szukając niby czegoś na biurku. — Czyż powiedziałem, że skłamała? Zachodzi atoli olbrzymia różnica w przedstawieniu kwestyi... Kobiety jak zwykle lubią przesadzać...

— Chodzi mi o sam fakt, ojcze — wtrąciła natarczywie Janina i w oczach jej rozradowanych przed chwilą, jaśniejsze błyski gasły z wolna.

P. Klemens udał zniecierpliwionego.

— Jaki fakt? — pyta. — I co tu w tem wszystkim jest nadzwyczajnego? Drobiński, czy jak się tam nazywa, potrzebował ulokować gdzieś swój kapitał; traf ślepy sprowadził go do mnie... Znudzony jego prośbami, pieniądze wziąłem, procent naznaczył, jaki sam chciałem; no i powiem ci nawet, z czem się przecież chwalić nigdy nie lubię, że postrzegłszy, iż jest jednym z tych niedołęgów, którzy radzić sobie w życiu nie umieją, ofiarowałem mu posadę u siebie w biurze i patrzyłem przez szpary na wszystkie absurda, jakie popełniał. Dla tego też i ten ich kapitalik przyjąłem, aby go od rozproszenia po świecie ocalić.

Janina jak rozbitek deski okrętu chwytała się drobnostki każdej, któraby na korzyść jej ojca przemówić mogła.

— Więc ojczulek nie potrzebował tych pieniędzy? — pyta niespokojnie i patrzy mu prosto w twarz swojemi pięknymi, uczciwymi oczyma.

Roześmiał się z przymusem.

— Jakieś ty jeszcze dziecko, Janiu! — odezwał się żartobliwie. — Któż w dzisiejszych czasach nie potrzebuje pieniędzy? Walka o byt toczy się dokoła nas, a w niej każdy stara się jak najwięcej zagarnąć korzyści. Czy to nie jest naturalnem?

Janina spuściła głowę. Nie wolno jej było wypowiedzieć słów, jakie cisnęły się na usta.

— Kochany ojcze, — rzekła prosząco, — obiecałam p. Drobińskiej przesłać odpowiedź twoją w jak najkrótszym czasie. Czy mogę napisać, aby zgłosiła się jutro po pieniądze?

P. Klemens pomyślał chwilą. Nużyła go ta rozmowa i ledwo się powstrzymywał, by nie wybuchnąć.

— Zostaw to mnie, kochankol! — odpowiedział zimno. — Drobińska nie powinna była niepokoić cię... To jest śmiałość nie do darowania. Jan dostanie burę, że ją wpuścił.

— Przyszła przecie upomnieć się o swoje pieniądze... — szepnęła Janina. — Cóż miała począć, gdy i w biurze i tutaj nie chciałeś widzieć się z nią, ojcze?

P. Klemens podniósł się i spojrzał na zegarek.

— Mam jeszcze kilka pilnych listów do napisania, córeczko! — odezwał się łagodnie. — A i tobie wypoczynku potrzeba. Nie zaprzataj główki takim niewiedzącym przedmiotem, jak interesa i to pieniądze w dodatku; zostaw to ojcu...

Wyciągnął ku niej ramiona i całując blade jej czoło dodał:

— Daj mi słowo Janiu, że ani Drobińskiej, ani figur jej podobnych przyjmować nie będziesz... Dla interesantów jestem zawsze w biurze...

Janina spojrzała na niego błagalnie.

— Co mam odpowiedzieć tej nieszczęśliwej, ojcze? — Przysięgam wstawić się za nią do ciebie i — i ona istotnie potrzebuje pieniędzy... — dokończyła prawie ze łzami.

— Będzie je miała, córeczko — odparł lekko. — Nie prędzej jednak, aż ja sam uznam, że oddać jej należy. W kwestiach pieniężnych nie możemy rządzić się uczuciem.

W głosie jego było tyle nieugiętej stanowczości, że Janina odgadła, iż wszelkie prośby na nieby się nie przydały.

— Muszę porozumieć się z Amelką... — szeptała w kilka minut potem, dążąc do swego pokoju. Lecz Amelka znudzona spała już i Janina z bólem swoim łamać się musiała sama.

Gdy nad ranem zmęczona, drżąc z chłodu i osłabienia pomyślała o spoczynku, widok puchów i błękitnych atłasów, koronkamiosztych, wzbudził w niej wstręt...

— O! — szepnęła z goryczą, — nie jeden żebrak na swoim twardem posłaniu spokojniej dziś zasypiać będzie, niżeli ja, której takie wspaniałe przygotowano łóżce...

Nazajutrz panny Krasnohorskie, jadąc na spacer, wstąpiły na Ogrodową, gdzie skromniuchne mieszkanko zajmowali Drobińscy. Ubóstwo schludne wylazło tam z każdego kąta. Drobiński, któremu suchoty krótką jeno gościńcą na tym świecie obiecywały, leżał w łóżku, jęcząc i pokasłując. Gromadka dzieci źle odżywianych, więc anemicznych i osowiałych, wywołała łzy w oczach Amelki, a cierpki uśmiech na twarzy Janiny. W obec nędzy tu panującej jakim bolesnym wyrzutem był dla niej bogaty apartament jej ojca.

— Ojciec przyrzekł mi uregulować rachunek z panią, — mówiła Janina do Drobińskiej, — lecz teraz jest bardzo zajęty. — Tymczasem niech ta drobnostka pani służy...

Zarumieniona, wsunęła w rękę Drobińskiej zaoszczędzoną przez siebie i Amelkę sumkę.

Drobińska rzecz pojęła odrazu.

— Dziękuję! — szepnęła rozrzwiniona. — Wszak w obec tego co tu pani widzi, natręctwo moje jest usprawiedliwione?

Janina milcząc, ucisnęła ją.

Wzrok jej spotkał gorączkowe, beznadziejnie smutne spojrzenie suchotnika i dreszcz nią wstrząsnął.

— Męża pani trzeba przede wszystkim wywieźć z Warszawy, — rzekła stanowczo. — Dzieci także potrzebują powietrza.

Drobińska westchnęła z cicha.

— Na to potrzeba środków... — szepnęła.

— Będą! — zawołała Janina, którą widok ubóstwa i cicha rezygnacja wzruszały niewypowiedzianie. — Poprosimy rodziców aby zabrali państwa do Zarzecza na lato. Wioska ta do nas należy i z pewnością znajdzie się tam mieszkanie i warunki dogodniejsze niżeli tutaj...

Projektem tym rozpromieniona, pogłodziła twarzyczki dzieci, uśmiechnęła się do chorego i wymogła na Drobińskiej, że pozwoliła przysłać dzieciom „święcone“.

Odjechały, Drobińska pełnemi łez oczyma ścigała oddalający się powóz.

— Dobrze, pocziwe dziewczeczki... — szeptała do siebie. — Wbrew przysłowiu: najszlachetniejszy gatunek jabłka na dzikiej, karłowatej jabłonce się urodził... O! niegodziwy to ojciec, który dzieciom za czyny swoje rumienić się każe.

XVII.

Święta przeszły wesoło, gwarno, huczno i strojno. Mnóstwo osób przewinęło się w salonach pp. Krasnohorskich a „święcone“ staraniem i gustem prezesa urządzone, przewyższało najwybredniejsze wymagania.

P. Klemens uśmiechał się z ukontentowaniem, pieścił córki, nadskakiwał żonie.

— Zrobiliście furorę moje panny, — powtarzał bezustannie. — Olbrzymią furorę! Damy zółkły z zadości, młodzież traciła głowy.

— Ale cóż znowu! mój Klemensie... — oponowała p. Helena, którą nietakt męża raził.

Amelka słuchała entuzjastycznych wykrzykników ojca ze zwykłą powagą i obojętnością; Janina z zagadkowym, wyzywającym jakimś uśmiechem.

Gdy znalazły się same, spytała siostry:

— Jakże ci się podoba owa „śmietanka“, której smak przedziwny ojciec tak chwala?

Amelka tęskne spojrzenie zatrzymała na szafirowym skrawku nieba, przeglądającym się w kryształowej szybie, i zamyśliła się.

— Są to ludzie inteligentni, ale trzymający się ściśle wszelkich formułek towarzyskich, — odezwała się po chwili. — To ich czyni nieco sztucznymi. Zre-

szta, ty wiesz Janiu, że mnie zadowolić trudno... Z licznych przedstawicieli złotej naszej młodzieży nie wyróżniłam żadnego. Popsuł mnie Dembiński swoim poważnym układem i odrębnością...

Uśmiechnęła się, mówiąc to i spojrzała bystro na siostrę.

Na ustach Janiny pojawił się lekki grymas. Przyjawszy milezieniem wzmiankę o Dembińskim rzekła tylko:

— Ta bogata galeria typów pozostawiła mi całkiem ujemne wrażenie. Na wszystkich niemal twarzach czytałam wielkimi zgłoskami wyryty wyraz pewien, który cały szereg postrzeżeń za sobą prowadzi.

— Cóż to takiego? — pyta ciekawie Amelka.

— Obłuda! — z uśmiechem odparła Janina. — W tem naszym, jak ojciec twierdzi, śmietankowym towarzystwie wszystko jest obłudne. Zauważyłam nieraz zjadliwe błyski oczu przy najmielszym uśmiechu, jedwabne słówka przy akompaniamencie dźwięków głosowych wcale nie harmonijnych i t. d. i t. p. Kobiety starsze bawią się flirtem jak młode, a młode udają znudzone i doświadczone... Wolałabym już budować z tobą ochrony w Zarzeczu i pływać po jeziorze...

— Doprawdy? — zawołała radośnie Amelka. — I ja bym pragnęła jak najprędzej być już w Zarzeczu.

Rozumieniła się jej twarzyczka i z podnieceniem opowiadać zaraz poczęła jak pięknem jest ciche życie na wsi, jak w obec czarów przyrody umysł się skupia i wzmacnia a jednostka każda pracując dla siebie i dla drugih, pożyteczną się staje.

— Czy myślisz, siostrzyczko — mówiła z zapalem, — że taka Dembińska na przykład nie czuje się stokroć szczęśliwszą w swojej skromnej kamlotowej sukni i białym czepeczku uwijając się w szpitalu zambrowskim i przy gospodarstwie, od niejednej z dam naszych goniących dawno ubiegłą młodocię rozpaczliwie, lub tracących czas na przymierzanie sukien i kapeluszy w magazynach a siły na balach, rautach i t. p. Takie gorączkowe a bezcelowe życie pochłania chwilowo wyobraźnię, ale pewną jestem, że po za sobą zostawia niesmak i nudę.

— Zgadza się z tobą, Melo! — przyświadczyła Janina. — Widzisz, najdroższa, jak z upływem czasu zmieniają się poglądy. To, co mnie dawniej nęciło, dziś wydaje mi się czczem i bynajmniej nie pożądanem. Rozpacz mi ogarnia gdy pomyślę, ile nas balów i wizyt czeka. Mówiła mi ta ładna Tola Zabielska że jest w programie „bal wiosenny“ na którym obowiązki gospodyń pełnić będą same „pierwiosnki“, rozumiesz? Będzie oczywiście awantura z metrykami...

Roześmiała się z dawną, dziecięcą pustotą.

— Złośliwa jesteś, Janiu! — odezwała się Amelka, patrząc z przyjemnością na siostrę.

— Na tem nie koniec, kochankol! — opowiadała dalej rozweselona dziewczyna. — Będzie jeszcze bal „fiołkowy“ na jakąś nowo powstającą instytucją dobroczynną, potem loterya fantowa na odzież dla ubogich, przedstawienie amatorskie z żywymi obrazami, które wywołały ogólne między pięcią piękną wzburzenie. Tola twierdzi, że komitet jest oburzającą niesprawiedliwy i kieruje się sympatjami. Jej dano rolę wcale nie odpowiednią do rodzaju talentu a Felisia Borzęcka najodpowiedniejsza ze swoją złotowłosą i mleczno białą urodą na przedstawicielkę „Wenus“ w jakiejś allegorycznej grupie, zdegradowana została szpetnie na „Minerwę“. Dodaj do tego wyścigi, majówki rozmaitych stowarzyszeń sportowych i w dodatku, wieczorki tygodniowe u p. Malskiej. Oczywiście z tego melanżu wybieram te ostatnie. Zaciekawiają mnie zebrania kobiece i godzić się poczynam z myślą, że istotnie potrzebujemy wyzwolić się z pod jarzma, jakie nam narzuciło brutalne prawo męzczyzn.

Amelka spojrzała na nią zdumiona.

— Janiu, co ja słyszę? — Wszak ty sama potępiałaś Malską... — odezwała się z oburzeniem.

— Mogę cię zapewnić, że uczone dowodzenia p. Malskiej ani jednej zdrowej myśli nie przysporzą umysłowi ludzkiemu.

— I ja tak myślałam, lecz przekonywam się teraz że jej poglądy są poniekąd słuszne... — odparła Janina.

— Co też ty mówisz! — irytowała się Amelka. — Albo ona ma jakie poglądy? Zacerpnęła ze

słownika kilkanaście imponująco brzmiących wyrażań, nauczyła się cytować zdania cudze, to i wszystko!

— Uprowadzasz się Melo... — zaprzeczyła Janina. — Ona istotnie chce otworzyć kobiecie nową drogę, na którą już oddawna wejść była powinna. Czyż wiecznie mamy być zależnymi od woli i kaprysów mężczyzn? Wiecznie prowadzone na pasku? Br! Ależ to wstętna egzystencja!

W oczach Amelki odbiła się trwoga.

— Janiu, cóż to za nowy zwrot? — pyta ze smutkiem.

— Doświadczenie! — odpiera trochę niepewnym głosem Janina.

— Wiesz Janiu, — zawołała energicznie Amelka, — takie pionierki nowych prądów i idei, jak Malska, kazałabym zamykać w domu obłąkanym.

— Widzę, że jesteś przeciwną postępowi... — wtrąciła wahająco Janina.

— Mylisz się... — zaprzeczyła żywo Amelka. — Ale na tej nowej drodze, którą kobiety chcą sobie wywalczyć, p. Malska przewodniczką być nie może. Że też ty sama, Janiu, dostrzedz tego nie chcesz...

Janina wpadła w zadumę. Łagodne światło zachodzącego słońca oblewało pokój cały różową łuną, łamało się w kryształowych flakonach zdobiących jej gotownię, ożywiało delikatny różowawy odcień pluszowych mebli i portyer, uwydatniło przepych i bogactwo zamieszkiwanego przez nią miłuchnego kącika, w którym przecież obzo jej było i smutno. Wrażenia i wspomnienia pokutowały w jej pamięci i prześladowały ją. Za wiele przytem myślała, za głęboko czuła. Wraz z krytyczną analizą co jest, jak jest i dlaczego, ulatywał spokój, a w jego miejsce rodziły się posępne jakieś myśli, chaotyczne pojęcia i pragnienia trudne do urzeczywistnienia. Duch niespokojny szukał szerszych kręgów; młodość i rozbijała wyobraźnia kierowała go na błędną ścieżkę.

Pierwszy zawrotny niepokój sprowadziły trujące, sofistyczne dowodzenia p. Malskiej; dopomagały im dzielnie: utrata złudzeń i gorzkie doświadczenie, tak rychło niestety! zdobyte.

Amelka zbliżyła się cicho i ujęła rozmarzoną dziewczynę w objęcia.

— Dam ci lekarstwo na ból i wątplenie, — szepnęła słodko. — Zobaczysz, jak szybko cię uleczy...

Janina potrząsnęła głową z niechęcią.

— Dla mnie nie ma lekarstwa, — rzekła opierając głowę na ramieniu siostry. — Musiałas to chyba zauważyć, Amelciu, jaki ja mam nieznośny, fantastyczny charakter. Jeżeli komuś naprzykład wystawię ołtarz w mem sercu, a ten ktoś ufnosć w nim położoną zawiedzie, nie znajduję dla niego ani isierki pobożania i tracąc szacunek, tracę i sympatyę. Oczywiście pozostaje mi potem tyle bólu, tyle goryczy, żeby się nią tysiące istot rozgoryczyć potrafiło. Powtarzam też zawsze, że człowiek ze wszystkich gatunków stworzenia jest najniebezpieczniejszym, bo mu kazali myśleć, analizować, zastanawiać się... To jest okropne!

Umilkła na chwilę i zapatrzyła się w konające zwolna blaski zachodzącego słońca.

— Gdybyś ty wiedziała, Amelko, — skarżyła się potem rozżalona i smutna — w jakim ja zaczarowanym kole się kręcę, jak myśl moja przynęca, przylłoczone, szuka wyjścia w obec tylu zagadnień nierozwiązanych, jak ogarnia mnie wątplenie rozpacze o wszystkich i o wszystkim... Tyś zachowała jeszcze skłonność do złudzeń, ale ja...

Zamyśliła się znowu, a z oddali, ze śródmieścia pracowitego i ruchliwego, tu, w ten zakątek arystokratycznej dzielnicy taki uroczy i zaciszny, przybiegał gwar jak gdyby oddalonego szumu morza.

Amelka chwyciła go uchem i spoglądała na siostre wzrokiem wyrzutu pełnym.

— Janiu! — odezwała się wreszcie. — Czy słyszysz ten gwar, który ciszę wieczoru przerywa? Pomyśl, ile tam setek, tysięcy pracuje, troska się, zabiega i wszelkie zagadki rozwiązuje w sposób najprostszy i najkrótszy...

Janina ocknęła się z zadumy.

— W jakiż to, kochanie? — spytała szyderczo.

— Być pożytecznym sobie i drugim... — dokończyła energicznie Amelka, co przecież Janina przyjęła wybuchem śmiechu.

— Nie gniewaj się najdroższa! — mówiła, całując siostrę. — Ale, bo pojęcia nasze na dwóch przeciwle-

głych leżą krańcach. Zkąd zresztą to mniemanie, że oni wszyscy nie myślą i nie zastanawiają się tak, jak ja naprzykład?

— Twoje zapatrywania to najkrótsza droga do skrajnego pesymizmu... — szepnęła z trwogą Amelka.

— O! niech no jeszcze z lat parę na sprawy tego pięknego świata popatrzę, to z pewnością dojdę do ostatecznych jego granic, — powtórzyła z ogniem Janina. — Ostatecznie, postępek ojca naszego z Drobińską wykoleił mnie... Honor i uczciwość dla mnie przecież pozostaną zawsze nietykalne i święte.

Zerwała się z kanapki i przebiegać zaczęła pokój silnie wzburzona, żadnych perswazyi nie przyjmując.

— To napróżno, napróżno Amelko! — wołała niecierpliwie, póki przerażona jej wybuchem siostra nie umilkła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, 27 Marca.

Z łatwością przychodzi mi wywiązać się z przyrzeczenia, danego w ostatniej korespondencji, a zapowiadającego rychłe przysłanie artystycznych wiadomości.

W tej chwili na moim stoliku leży kilkanaście bilecików mniej więcej takiej treści: „Cher ami, jeżeli w tych dniach będziesz blisko mojej pracowni, wpadnij na chwilę do mnie zobaczyć moją „jajecznikę ze szczyptorkiem“, którą myślę poczęstować publiczność tegorocznego salonu.“ Obok tego przyjacielskiego stylu są też i ceremonjalne karty, jak: „Pan X. prosi pana Z... o zaszczytne wizytę jego pracowni pomiędzy 10 a 20 Marca i t. d.

Tak jednych jak i drugich zaprosin pominąć nie można pod utratą przyjaźni — lub znajomości danego artysty, gdyż owe zapraszanie „uprzywilejowanych“ na oględziny dzieł przed wystawieniem ich na wystawę stało się tu powszechnym zwyczajem artystycznej braci.

Wziawszy więc w kieszeń paczkę zapraszających bilecików, przy pomocy najpoważniej wyglądającego fiakra, puściłem się na wędrowkę po rozmaitych zakątkach nowożytnego Babilonu.

I malarze i rzeźbiarze tutejsi obrali sobie siedzibę w oddalonych częściach miasta.

Les Boulevards extérieurs, opasujące szerokim kołem cały Paryż, są przedewszystkiem ulubionem siedliskiem artystycznej drużyny, która oprócz tego osiadła jeszcze w około Luksemburga i Szkoły Sztuk Pięknych na stromych ulicach wzgórz Montmartre, w części zaległej eleganckimi pałacami urocze strony parku Monceau, lasku bułoińskiego i Passy, lub też przekroczywszy fortyfikacje umieściła swe eleganckie pracownie w zadrzewionym Neuilly, lub nawet w dalszych podmiejskich okolicach Paryża. Spotykają się jednak artystyczne pracownie i w samym sercu Paryża i do takiej właśnie skierowałem najprzód wynajęty wehikuł.

Pod Nr 24 przy ulicy Mont-Thabor, jednej z tych cichych spokojnych uliczek, przecinających zawsze gwarą ulicę Rivoli, na drugim piętrze wysokiej kamienicy mieszka dzisiejszy ulubieniec paryżan, malarz Roybet, nazwany społecznym Velasquesem.

Podwoje przybrane wschodnimi portjerami prowadzą do mieszkania artysty, który też sam drzwi otworzył na ogłós dzwonka, serdecznym uściskiem dłoni i uprzejmym uśmiechem dziękując za przybycie. W eleganckim jasnym, szykownym kostiumie, pełnym swobody w ruchach, ciemnooki szatyn, przypruszony siwizną, z ładnym wąsem i otwartą szczerą twarzą, rozjaśnioną serdecznym uśmiechem, — Roybet sprawia wrażenie skończonego dżentelmena, dalekiego od zwykłej cygańskiej poufałości i opuszczenia, cechującego wielu jego towarzyszy po pendzlu.

O sztuce mówi z zapałem i wielką znajomością rzeczy, gdyż jest to wytrawny dawny artysta, dziś do pierwszorzędných mistrzów zaliczony. Paryż

nie odrazu poznał się na nim, a sławę pozyskał Roybet wpraw za granicami Francji. Dziś otoczony aureolą wielkości, patrzy z pobożaniem na zachwyty paryżan nad swemi dziełami.

Nim opiszę widziane dzieła, chcę powiedzieć, w jakim otoczeniu żyje artysta.

Przeszedłszy podwójny przedpokój, zastawiony wschodnimi cackami i okazami najpiękniejszej ceramiki, wchodzi się do wspaniałej świątyni sztuki. Na lewo od wejścia szerokie okno o starych malowidłach, dalej sofka z olbrzymim baldachimem ze wschodniej materii. Wprost wejścia dwie flamandzkie szafy z XII-go wieku i pyszne łóże w stylu odrodzenia, kilka rzadkich sztuk meblowych sławnego Ducerceau, a pomiędzy niemi kilka pysznie rzeźbionych w drzewie figur: prześlizna figura z XV-go stulecia, przedstawiająca Ś-tą Barbarę, drogocenna statua włoskiej Madonny z Dzieciątkiem i kilka innych, które rozróżnić zaledwie można pośród prawdziwej powodzi artystycznych i drogocennych przedmiotów, zalegających całą pracownię.

Pośrodku salonu na stalugach widzieć można olbrzymią kompozycję dekoracyjną w stylu mistrzów flamandzkiej szkoły, przedstawiającą pewną społeczną liczną rodzinę, sportretowaną w pysznych strojach rubensowskiej epoki.

Kompozycja i wykonanie obrazu prawdziwie mistrzowskie, figury, kostiumy i martwa natura traktowane znakomicie. Trzeba więc jednocześnie podziwiać znakomicie uchwycony charakter wyrazu wszystkich twarzy, świeżość i naturalność kwiatów, połysk srebrnych i złotych naczyń wspaniale zastawionego stołu, wdzięk młodych kobiet podnoszących kryształowe kieliszki winem napełnione, jak również śliczny ruch dwojga młodych dzieci. Bajeczna jest też miękkość wykonania aksamitnych kostiumów, gnących się w pysznie oddanych fałdach. Słowem obraz ten jest wyrazem potężnego talentu, jest mistrzowskim popisem znakomitego malarza, o którym należałoby chyba napisać osobne studium artystyczne.

Obok tego wspaniałego dzieła stoją na boku zakryte stalugi. Roybet podnosi zasłonę i... stanęła przed nami zachwycająca postać kobieca o tajemniczo uśmiechniętej głowie społecznej Giocondy z szyderczym a jednocześnie myślącym wyrazem w pięknych oczach. Jest to portret artystki Joanny Romani w pysznej jasnej mieniącej się kilkoma tonami sukni, czarnej pelerynce na ramionach i czarnym kapelusiku na jasnozłoty włosach. Portret ten to drugie wspaniałe i znakomite dzieło artysty.

Po godzinie tej artystycznej biesiady na ulicy Mont-Thabor pojechałem na wzgórze Montmartre, spiesząc w odwiedziny do znanego, dekorowanego, a nadewszystko poszukiwanego przez piękne damy portrecisty X. (Nazwiska jego nie wymieniam. Niech on będzie rodzajem typu, znanego na paryżkim bruku, a więc takiego, jaki kilkakrotnie trzeba by było powtórzyć).

Pan X. jest tedy ulubionym portrecistą pięknych paryżanek. Pracownia jego, a raczej muzeum starożytności, pełne zawsze strojnych, wesołych dam, przyjmowanych codziennie między 5-tą a 7-mą herbatką z ciasteczkami i najświeższymi płotkami. Pan X. przyjmuje piękne panie w aksamitnej kurtce, skropionej najmodniejszymi wonnościami, w miękkich lakierowanych trzewikach, uwydatniających jedwabne skarpetki, z jedwabnym fontaziem na szyi, który wypieszczoną dłonią bezustannie poprawia.

Dzieła jego odznaczają się temi samymi przymiotami. Wypieszczone, błyszczące, czyste i z niewielką odmianą każdego roku mniej więcej tę samą treść przedstawiają. To jakas nimfę wodną nad brzegiem strumienia, to strojną uśmiechniętą młodą lub niemłodą damę, lub różowe jasnowłose dziecko na kolanach zachwyconej nim matki. Zawsze rozczulający temat!

Do takiego pana wszedłem trochę zażenowany, a stojąc przed obrazem pociełem się, aby coś miłego powiedzieć artyście, z błogim uśmiechem oczekującym na komplement.

Przecież mimowoli można wypalić głupstwo. Na szczęście daremna obawa: artysta sam podpowiada zachwyty swoich klientek, i ani mu przez myśl nie przeszło moje kłopotliwe położenie. Po kwadran-

sie odchodzę, pozostawiając go zupełnie zadowolonym z mej wizyty.

Na szczęście dla francuskiej sztuki nie wszyscy posiadają taką pewność swej wielkości. A nawet są tacy, co w obawie przed zetknięciem się z niesprawiedliwą i niekorzystną krytyką, uciekają przed ludźmi i kryją swoje dzieła. Do takich właśnie należy sławny malarz i sławny dziwak, Gustaw Moreau.

Mieszka on zdale od środka Paryża, a drzwi jego pracowni są od lat dziesięciu stale zamknięte nie tylko dla krytyków, ale nawet dla najbliższych przyjaciół. W ciszy, zdale od miejskiego gwaru ten wielki artysta pracuje z kilkoma uczniami nad szeregiem dzieł, które dopiero po jego śmierci mają ujrzeć światło wielkich wystaw.

Artysta chowa je jak westalki w głębi świątyni przed oczyma profanów. Dzieła te mają wcielać symbolicznie najpiękniejsze idee ludzkości. Wielokrotnie przoszony o wystawienie swoich skarbów, Gustaw Moreau zawsze jednakowo odpowiada: „Jeżeli mój obraz był przez kogo oglądany, zaraz przestaje mnie samego zajmować.“ Tego roku Moreau nie będzie wystawiał żadnej swej pracy w żadnym z salonów, ani na polach elizejskich, ani na Champ de Mars'ie.

Największy tłum odwiedzających zastałem w pracowni G. Desrivieres'a i jego żony, także doskonałej portrecistki.

Zachwycano się *Małą zebraczką* i *Ogrodnikiem* pani oraz morskimi krajobrazami pana. I ja swój zachwyt wyraziłem za innemi, rad jednak bardzo, że mogłem dość prędko uwolnić się z tej gorącej atmosfery pochwał dla artystycznej pary.

Prosto też od państwa Desrivieres udałem się na przegląd mniejszych wystaw, jakie tu zwykle poprzedzają otwarcie wielkich dwóch salonów.

Cercle de l'Union artistique godnie wystąpił z przesłicznymi portretami Dagnan-Bouvereta, Benjamin'a Constant'a, Bonnat'a i z przesliczną dziewczynką Carolus'a Durand. Zwraća też powszechną uwagę Napoleon na wyspie S-tej Heleny, malowany przez Monchablou'a. Wiele jest jeszcze dzieł dobrych, a nawet godnych zaznaczeń, których wymienić niepodobna.

Z rzeźby najpiękniejszą jest niewielka *Psyche* Mercie'go. Wystawa du *Cercle artistique et litteraire* przy ulicy Volney posiada pięknie rysowany portret Ambrozego Thomas'a przez Baschet'a. Dalej są dwa piękne rysunki symboliczne Leona Dufour'a—Poety z Beatrycą, i doskonale rysowane ciało kobiety.

Takie małe i duże artystyczne wystawy, „Salons“, wizyty po pracowniach artystów, takie ciągłe ocieplanie się ze sztuką sprawiło, iż każdy tu zna się na sztuce i może o niej rozprawiać nieledwie jak średniowieczny Leonard da Vinci.

Oprócz tego te wszystkie artystyczne zebrania służą za pole pierwszych popisów tualtowych. Zebrane tu towarzystwo dam i mężczyzn rozprawia nie tylko o sztuce, i kto chciałby zbierać wzorki z tutejszego społeczeństwa, zebrałby tu doskonałe typy współczesnych okazów rozmaitej kategorii. Ale czyż nie to samo dzieje się na tutejszych literacyjnych koncertach, tak licznie w tych czasach uczęszczanych?

Teatra wystąpiły znów z kilkoma nowościami lub wznowieniami dawniej grywanych sztuk. Sławny Termidor Wiktoryna Sardou jakiś czas zabroniony, został znów wprowadzony przez Coquelin'a na deski teatru Porte-Saint-Martin i doznaje wielkiego powodzenia.

W Komedyi Francuskiej wystawiono dawno już zeszłego ze sceny George'a Dandin'a. W operze komicznej dano też starą operę Glucka *L'Orphée*, bardzo starannie wystawioną, choć bez udziału sił pierwszorzędných.

Z nowością wystąpił teatr Oeuvre dając wierszowaną tragedję nowego autora, Augusta Villeroy, zatytułowaną *Heraklea*. Utwór ten, osnuty na ulegendowem ma wiele cennych zalet.

Nową jest także, a co więcej interesującą *Figurantka*, trzyaktowa komedia Franciszka de Curel, wystawiona w teatrze Sary Bernhardt. Franciszka, uboga siostrzenica światowej pani de Moineville, przeznaczona była na parawanik, figurantkę, jako żona pana de Renneval, kochanka swej ciotki.

Stary uczony de Moineville z filozoficznym spokojem i wiarą w karę doczesną patrzy na postępowanie swej młodej żony. Karjerowiec de Renneval jest wybitnym deputowanym, ale na drodze do wyższego stanowiska trzebaby mu się koniecznie ożenić.

Przebiegła pani de Moineville wydaje za niego wówczas właśnie swą niepozorną, niby nie orjentującą się w sytuacji a przytem niezamożną siostrzenicę. Franciszka, która skrycie oddawała kochała Rennevala, chętnie na to przystaje, a po ślubie zdradza tyle taktu, inteligencji, umiejętności w prowadzeniu salonu politycznego i wogóle znajomości życia i ludzi, utorowawszy mu wreszcie drogę do teki ministeryalnej, że mąż zdziwiony tymi niespodziewanymi jej zaletami, naprawdę ją pokochał, stając się obojętnym dla kochanki. Żona, mając coraz więcej dowodów, że nie jest przewidywaną figurantką w tej całej matrymonijalno-politycznej kombinacji, że nie jest wreszcie obojętną dla męża, stawia mu za warunek wspólnego szczęścia zerwanie z kochanką, co łatwo dochodzi do skutku. Pseudo-figurantka naprawdę tedy podbiła i zdobyła męża, a ciotkę jej najspokojniej przyjmuje stary mąż, sceptyczny filozof, który w tej całej afery zamiast niezadowolenia wynosi potwierdzenie swoich teorii o doczesnym wymiarze sprawiedliwości.

Autor nowej komedyi od trzech lat zaledwie znany paryskiej publiczności wystawieniem *L'invitee* oburzył na siebie cały świat niewieści, a tym nowym utworem poruszył znów ciekawość ogółu. Zewsząd dopytywano się natęczywie, kto jest ów pan de Curel. Był on zupełnie nieznanym, w salonach paryskich nie bywał, pomimo że należał do tej salonowej sfery urodzeniem i majątkiem. Tymczasem autor ani myślał o ukazaniu się w modnym świecie. Jest on mieszkańcem odległej prowincyi, uwielbia naturę, samotność i ciszę wiejską.

Au physique wygląda na lat czterdzieści, barczysty z ogorzałą twarzą i ruchliwym, przenikliwym spojrzeniem. Wyraża się krótko, zwięźle, z miną szyderezego sceptyka. Oto zewnętrzny wygląd. W gruncie nieśmiały, uczuciowy i romantyczno-poetyczny artysta.

Karyerę literacką zaczął de Curel pisząc romanse. Dyrektor Wolnego Teatru, Antoine, odważył się wystawić jego pierwszy utwór sceniczny, jednogłównie przez krytykę przychylnie przyjęty. „Figurantka“ jest czwartą wystawioną sztukę Curel'a.

Wszystkie zaś noszą na sobie cechy cornelowskiego stylu, obok głębokiej poetycznej intuicji i subtelnej analizy uczuć ludzkich; ważną też i ciekawą jest rzeczą poruszanie tendencyjne społecznych problematów moralnych i społecznych.

Te zalety de Curel'a wzbudziły wielkie nadzieje, i dziś powszechnem jest mniemanie, że należy on do tej szczupłej garstki młodych twórców, którzy mają zacząć nową erę odrodzenia we francuskim teatrze.—Qui vivra, verra!

No, jak na jeden numer *Bluszczu*, to chyba dosyć wiadomości artystycznych; mógłbym jeszcze opisać kilka świeżo wydanych książek, ale obawiam się przeładować wrażeniami łaskawych czytelników. Zostawiam to do innej sposobności, bo już nie wiele miejsca pozostało na miejskie i polityczne wypadki.

Z miejskich—oprócz różnych a nieomal codziennych morderstw, kradzieży lub samobójstw, najciekawszym był obchód półpościa z tradycyjnymi hecami tylko nieco odmiennego stylu, bo oto oprócz prackę świętowali także i panowie malarze, a szczególnie artyści, zamieszkali na wzgórzystych ulicach Montmartru. Opisanie tych dwóch uroczystości napewno zajęło by całą moją kronikę, więc poprzestaję jedynie na zaznaczeniu, że odbyły się i udały znakomicie pomimo niepogody w postaci kroplistego deszczu.

Prezydent Faure powrócił już do Paryża z wycieczki swej do południowej Francji. Między innymi celem podróży prezydenta było odsłonięcie pomnika, wzniesionego na pamiątkę setnej rocznicy przyłączenia Nicei do Francji. Tyle rozmaitych owacy, jakie na każdym kroku w podróży spotykały prezydenta, musiały go porządnie zmęczyć, a tu i w domu odpocząć mu nie dają: kwestya sudańska wywołała nieporozumienie w gabinecie, obrady w izbie nad podatkiem dochodowym przeszły nader burzliwie, a proces z powodu Lebaudy'ego, choć zakończony nareszcie, ciągle jeszcze

stoi na porządku dziennym, wzbudzając uwagę opinii publicznej a z nią i uwagę prezydenta.

Nawet i wręczenie orderu młodemu księciu Henrykowi Orleańskiemu za poważne studia geograficzne, nie przeszło bez szemrania. Pamiętają ludzie, jak przed niedawnym czasem młody książę wiodł hulaszczę życie bogatego panicyzka, i że dopiero ujęcie go w kluby, to jest ustanowienie nad nim prawnej opieki przyprowadziło go do porządku, dalszym wynikiem czego była podróż księcia w dalekie kraje. Dawny lalkowaty młodzieniec zmienił się dziś w ogorzałego mężczyznę, który nie jedną ciężką chwilę musiał przejść pośród dzikiej przyrody kraju, po którym podróżował. Podobno bardzo zajmująco opisał swe przygody w obszernej świeżo wydanej książce, z którą coprawda jeszcze nie miałem czasu się zapoznać.

Jako zwiastun nadchodzących świąt Wielkanocnych mamy już otwarty *la foire aux pains d'épices*—doroczny jarmark na pierniki i szynki—na placu de la Nation, co przypomina mi o przesłaniu świątecznych życzeń szanownym moim czytelnikom.

C. H.

ODCZYT Y.

Aleksander Kraushar. „Krytyka literacka i zarys jej rozwoju w literaturze polskiej.“

Po p. E. Jankowskim, który rozpoczął tegoroczną seryję odczytów na korzyść osad rolnych wykładem o roślinach mięsożernych, ujrzelismy na katedrze prelengenckiej zasłużonego historyka, p. Aleksandra Kraushara. Nazwisko prelegenta i zajmujący przedmiot jego odczytu zgromadziły w Aleksandryjskiej sali ratusza liczny zastęp słuchaczy i słuchaczek, ze znaczną przewagą na korzyść tych ostatnich, co zresztą na odczytach jest objawem stałym.

Temat, obrany przez p. Kraushara do dwóch jego prelekyi publicznych (wygłoszonych w d. 17 i 20 b. m.), nie był prawie dotychczas w literaturze naszej poruszany. Dwie czy trzy próby, podejmowane przez pisarzy naszych w celu skreślenia dziejów krytyki polskiej, pozostały, jak dotąd, niedokończonymi. Tem tylko pocieszać się można, że i obce piśmiennictwo nie są pod tym względem wiele od naszego bogatsze.

W każdym razie żałować należy, że szczupłe ramy, w jakich miesiąc się muszą wszelkie odczyty publiczne, nie pozwoliły wybitnemu historykowi wyzyskać należycie pociągającego tematu. Prelegent, zamierzający zapoznać słuchaczy z przedmiotem, w którego zakres wchodzi dzieje całej niemal umysłowości naszej,—z konieczności powierzchownym być musi. Nad wieloma ważnymi rzeczami pobieżnie tylko prześlizgnąć się można, o rzeczach mniej ważnych nie wspomina się wcale lub poprzestaje na wyliczeniu kilkunastu nazwisk, które dla słuchaczy pozostają najeczęściej dźwiękami pustemi.

P. Kraushar utrudnił sobie jeszcze zadanie, zaostrzając swój krótki zarys rozwoju krytyki literackiej w Polsce obszernym stosunkowo wstępem, w którym zapoznać nas pragnął z krytyką i historją jej rozwoju w ogóle. Streścić w dwóch wykładach, które razem trwały najwyższej trzy godziny, dzieje myśli krytycznej od Pizistrata i Arystotelesa aż do czasów najnowszych, zwrócić uwagę na to, jaką krytyka była, jaką jest i jaką być powinna, zatrzymać się przytem szczegółowiej nieco nad jej rozwojem w literaturze polskiej,—jest to zadanie, z którego niełatwo wywiązać się w sposób zadowalniający.

Spróbujmy w każdym razie zaznaczyć, jaką drogę do rozwiązania go wybrał prelegent.

Zwróciwszy na wstępie uwagę na objawiające się w ostatnich czasach na Zachodzie dążenie do nadania krytyce kierunku naukowego, do stworzenia z niej umiejętności, opartej na zasadach stałych, zauważył p. Kr. w dalszym ciągu, że krytyka, podlegając prawom rozwoju, zmieniała kilkakrotnie charakter. W starożytności krytykami nazywano

ludzi, umiających utrwać na piśmie legendy, podania i pieśni. Takim krytykiem był np. Pizistrat, pod którego kierunkiem zebrano rozproszone pieśni Homera. Krytykami nazywali się także sędziowie na igrzyskach greckich, i dopiero od czasów Arystotelesa, który pierwszy ujął w pewien całości kształt prawa, rządzące twórczością literacką, mamy do czynienia z krytyką w dzisiejszym tego słowa znaczeniu.

Z epoki Aleksandryjskiej przechowały się nazwiska dwóch przysłowiowych niemal dzisiaj krytyków: Arystarcha i Zoila. Pierwszy z nich odznaczał się bezstronnością, drugi zasłynął, jako krytyk stronny i zjadliwy, i, za swoje napaści na Homera, w starożytności już otrzymał przydomek „bicia homerowego” (*homeromastings*). Wieki średnie zacieśniły widnokrąg krytyki, krępując twórczość wszelką szeregiem suchych formułek i reguł. Epoka odrodzenia, uwalniając myśl ludzką z powijałów, które ją skępowały wieki średnie, wyprawa krytykę literacką na szersze tory. Od tej przełomowej w dziejach ludzkości epoki rozpoczyna się właściwy rozwój krytyki, która, zdaniem prelegenta, nie była odtąd prostym odbiciem ideałów chwili, lecz stała się sama „wielowładną mistrzynią,” narzucającą własne poglądy, walczącą w imię ideałów prawdy, dobra i piękna, obalającą kierunek pseudoklasykizmu i metafizykę, wprowadzającą do literatury rodzimej arcydzieła obcych piśmiennictw...

Po uwagach tych, zawiele może zasług przypisyjących krytyce, jeżeli zwłaszcza mowa tylko o krytyce literackiej, przeszedł p. Kraushar do naszkicowania historii rozwoju krytyki w literaturze francuskiej, co słuchaczom ułatwić miało następnie zapoznanie się z głównymi fazami w rozwoju krytyki literackiej u nas. Zauważywszy więc, że początki krytyki literackiej we Francji sięgają połowy XVI stulecia, gdy z inicjatywy Ronsard'a ogłoszony został t. zw. „Manifest Plejady,” zaznaczył dalej prelegent, że w tej pierwszej dobie rozwoju swojego krytyka francuska starała się przedewszystkiem o dokładne zbadanie arcydzieł literatury starożytnej, i że główną jej cechą była bezwzględna wiara w skuteczność reguł i prawideł. Zadanie krytyki polegało wówczas jedynie na sprawdzaniu, o ile prawidła to zachowane zostały w danym utworze literackim.—Przeciw takiemu pojmowaniu krytyki powstał pierwszy Racine, Descartes i Pascal. Dwaj ostatni zwłaszcza osłabili powagę wzorów klasycznych, przeciwstawiając jej badanie samodzielne. W końcu XVIII wieku wywiązuje się ztąd walka o zasady, pierwszy bój t. zw. klasyków z romantykami, w którym z powagą Boileau, La Harpe'a i innych walczyli reformatorzy pod przewodnictwem Marivaux, Diderot'a, Montesquieu'go, Rousseau'a, a później Chateaubriand'a i pani de Staël.—Wiadomym jest wynik tej walki. Zwycięstwo romantyków toruje drogę prawdziwej krytyce nowożytnej, zakres jej rozszerza się coraz bardziej, obejmując coraz rozleglejsze widnokręgi, a na czele różnych rodzajów krytyki stają tacy pisarze, jak Guizot, Cousin, Saint Beuve, który metodę badania pogłębił, szukając wyjścia w pisarzu samym i tajemnicach jego ducha, dalej Taine i Brandes, wreszcie w najnowszych czasach Lemaître, A. France i inni, którzy nadali krytyce kierunek wybitnie subiektywny i szukają w utworach literackich autobiografii ich autorów.

Nie zatrzymując się nad zbyt obszernymi, lecz mimo to ogólnikowymi dosyć wywodami prelegenta na temat, jaką krytyka być powinna, przejdziemy do naszkicowanych przezeń w dalszym ciągu dziejów krytyki literackiej u nas. Początków jej szuka autor w dziełach Konrada Celtesa i Kallimacha, w monografii Trzyckiego o Reyu, wreszcie w pracy Starowolskiego p. n. „*Hekatonstas*,” obejmującej krótkie notatki o stu dawniejszych pisarzach. Na baczniejszą uwagę zasługuje z owej epoki dzieło Brauna p. t. „*De scriptorum Poloniae*,” („O pisarzach polskich,”) w którym autor nie szczędził ostrej uwagi pisarzom współczesnym, ceniąc natomiast wysoko Jana Kochanowskiego i innych pisarzy „złotego wieku.” Późniejsi jednak krytycy, jak Jan Daniel Janowski i Załuski, nie wstąpili w ślady Brauna. Prace ich są tylko notatkami bibliograficznymi, pełnymi pochwał przesadnych. Dopiero w ósmym dziesiątku XVIII stulecia kry-

tycyzm zaczął się znów u nas odradzać. Powstała nawet myśl wydawania pisma, poświęconego wyłącznie krytyce, a jako dodatek do wydanej w r. 1779 komedii niewiadomego autora p. t. „Kawa,” ukazały się dwie ciekawe rozprawy: „O geniuszu” przez Mniszcha i „O smaku” przez Józefa Szymanowskiego.—Obszerne wyjątki przytoczone z tych rozprawek, zakończyły pierwszą część odczytu p. Kraushara.

W drugiej części prelegent przedstawił krótki zarys rozwoju krytyki literackiej naszej, w ciągu XIX wieku, rozpoczynając wykład od zaznaczenia działalności zawiązanego w r. 1789 Towarzystwa krytycznego, na którego czele stali: Śniadecki, Kołłątaj, Siarczyński i Dmochowski. Pisarze ci byli naturalnie zwolennikami zasad pseudoklasykizmu, a zadaniem zawiązanego przez nich Towarzystwa miała być, według określenia Dmochowskiego, walka z pośpiechem w robocie, brakiem gustu, nieznaną reguł, a zwłaszcza zwalczanie tej bezkarności, która sprawiła, że i najgorsze pisma nie lekkały się różgi krytyki. Poglądy, którym hołdowało Towarzystwo, znalazły wyraz w wydanym w r. 1801 dziele p. t. „Myśli o piśmie” z uwagami nad sposobem pisania w rozmaitych materjach, którego autorem był pisarz, znany pod pseudonimem Dantiscusa. Wogóle jednak początek bieżącego stulecia, jak zauważyli już i Dmochowski, i Mickiewicz, odznaczał się dziwną jałowością pod względem twórczości literackiej i nie zostawił wybitnych utworów w jej dziedzinie.

Ożywcym prądem dla literatury było z jednej strony przebudzenie się krytycyzmu, a z drugiej—potężny powiew kierunku romantycznego, który tymczasem zdążył już na Zachodzie stoczyć zwycięską walkę z pseudoklasykizmem. Pojęcie romantyzmu, będące już dzisiaj, wobec kierunków nowych, symbolem застоju i reakcji, było w epoce swojego rozkwitu wyrazem odrodzenia i postępu. Pierwszym widocznym objawem zajęcia się u nas tym kierunkiem, była pochlebna ocena utworów Byrona i Waltera Scotta, pomieszczona w „Pamiętniku Warszawskim” z r. 1816 przez Bentkowskiego.

Walka między klasykami i romantykami rozpoczęła się u nas w dziedzinie krytyki teatralnej, którą dzierżyło w swych rękach t. zw. „Towarzystwo Iksów.” W łonie towarzystwa tego widzimy z jednej strony zwolenników dawnego kierunku ze Śniadeckim na czele, uznających jedynie, powagę literatury starożytnej i francuskiego pseudoklasykizmu, kierujących się ślepo formułkami, pozostawionymi przez Horacego, Boileau i Dmochowskiego,—a z drugiej strony odstępów od kierunku tego, którzy, jak n. p. Franciszek Morawski, nie wahali się chwalić otwarcie utworów literatury angielskiej i niemieckiej, zachwycać się Szekspirem i Schillerem i zaczęli nawet pisać rozprawy o ich dziełach (krytyka „Hamleta”).

Rozprawa Brodzińskiego o klasyczności i romantyczności, jego „Wiesław” i wydany w r. 1821 pierwszy tomik poezji Mickiewicza — zadaly cios stanowczy pseudoklasykizmowi naszemu. — Rozprawa Mickiewicza „Przeciw krytykom i recenzentom warszawskim” i dzieło Mochnackiego „O literaturze polskiej w wieku XIX” rozpoczynają nową erę w dziejach krytyki polskiej. Dotąd pisanie rozpraw literackich i krytycznych traktowano u nas po dyletancku, jako pewnego rodzaju rozrywkę, — od Mochnackiego widzimy już cały szereg pisarzy, dla których krytyka stała się specjalnością i zajęciem wyłącznym. Na czele krytyków, w taki sposób pojmujących swoje zadanie, stanęli w epoce owej Michał Grabowski, Aleksander Tyszyński, Michał Wiszniewski, Edward Dębowski i Jan Majorkiewicz. Grabowski przez długi czas uchodził za kierownika ruchu literackiego i historycznego w piśmiennictwie naszym. W pracach swoich („Literatura i krytyka,” „Korespondencya literacka”) nawoływał pisarzy do przedmiotowości, uprzedzając do pewnego stopnia teorię realistów dzisiejszych. Tyszyński zalecał przestrzeganie ducha języka swojskiego w utworach literackich, Wiszniewski nadał krytyce kierunek historyczny, Dębowski wprowadził do niej pierwiastek polityczny, a Majorkiewicz-filozoficzny.

W epoce późniejszej, po Łukaszewiczu i Wojcieckim, wystąpił Julian Bartoszewicz, który wprowadził do krytyki element polemiczny, nie cofał się

przed bezwzględny sąd o pisarzach żyjących i połączył wykład dogmatyczny z krytyką literacką.

W drugiej połowie bieżącego stulecia widzimy cały szereg monografii i studyów literackich. Na uwagę zasługują tutaj zwłaszcza rozbiory i sprawozdania Kraszewskiego, Nehringa, Mecherzyńskiego, Przyborowskiego, Węclewskiego, Faleńskiego, Lucyana Siemieńskiego, który wprowadził do krytyki naszej pierwiastek artystyczny. Dalej zwrócił prelegent uwagę na pisarzy takich, jak Klaczko, Antoni Małnecki, autor znakomitej monografii o Słowackim, Karol Libelt, Cybulski, Siwiński, wreszcie Kazimierz Kaszewski i mniej od tamtych oryginalny, ale ruchliwy i użyteczny F. Lewestam.

W dalszym ciągu zaznaczył p. Kraushar zwrot w krytyce naszej pod wpływem hasła pozytywizmu, które przed trzydziestu laty podzieliły pisarzy naszych na dwa wrogie obozy: starych i młodych. Pozytywizm, zdaniem p. Kr., nie uznawał poezji. Nie od rzeczy tu jednak będzie zauważyć, że właściwie reakcja przeciw utworom poetycznym, która znamionowała kierunek pozytywizmu, dotyczyła wyłącznie utworów młodych, bezbarwnych, przenikniętych ekliwym sentymentalizmem, które w epoce owej rozmnożyły się nadmiernie. Prawdziwych poetów pozytywizm uznawał zawsze i wielkim wieszczom naszym oddawał hołd należny, jak świadczy chociażby przedmowa do „współczesnych poetów polskich” Piotra Chmielowskiego.

Z pomiędzy krytyków współczesnych obszerniej nieco zatrzymał się autor nad Włodzimierzem Spasowiczem, Stanisławem Tarnowskim i Piotrem Chmielowskim. Pierwszy ocenia utwory poetyckie ze stanowiska społecznego, starając się kierować przytem trzeźwością, nie dopuszczając żadnych tranzakcji z uniesieniami fantazji. Walczy on w imię oportunizmu z cieniem wielkich poetów których tendencje wsteczne nie licują z daniem, jego z kierunkiem demokratycznym. Tarnowski hołduje niewielkiej garstce wybranych poetów, oceniając ich utwory ze stanowiska arystokratycznego. Chmielowski wreszcie, odznaczający się niezwykłą pracowitością i erudycją, jest przedstawicielem krytyki naukowej w literaturze naszej, którą wzbogacił cennymi studiami nad prozaikami.—Prace jego mają za sobą dużą powagę słowa, która idzie w parze z rozległym odczytaniem i obfitością szczegółów faktycznych.

Wymieniwszy następnie wybitniejszych krytyków teatralnych, jak Antoni Lesznowski, Józef Kenig, Władysław Bogusławski, Zalewski, Lubowski i inni, w paru słowach wspominał prelegent o krytyce malarstwa, rzeźby i muzyki i o znaczeniu dziennikarstwa współczesnego. Krytyka, zdaniem jego, spełnia rolę zwierciadła, w którym się odbijają promienie wszelkich prądów i kierunków twórczości, i dla tego dążyć należy do wszechstronnego jej rozwoju.

Pod względem zewnętrznym odczyt p. Kraushara, napisany językiem czystym i przystępnym, wypowiedziany głosem donośnym, nie przedstawia nic do życzenia. Jeżeli praca jego zachęci pisarzy naszych do poświęcenia poważnych studyów ważnej, a zaniedbanej gałęzi wiedzy, jaką jest u nas historia krytyki, będzie to dużą zasługą prelegenta i przyjmniejszą zapewne nagrodą za trudy podjęte od okłasków, które go pożegnała licznie zgromadzona publiczność.

Wł. Bukowiński.

Kronika działalności kobiecej.

— Grono pań, mieszanek Warszawy, zawiadomiło prezesa War. Towarzystwa Dobroczynności o zamiarze wytworzenia opieki nad osobami dotkniętymi obłąkaniem a pozbawionymi przytulku w szpitalach. Nazwa Towarzystwa brzmiąca by „Towarzystwo opieki nad choremi umysłowo i nerwowo.”

— Po złożeniu egzaminów w uniwersytecie warszawskim dwie kandydatki, p. p. Marya Mackiewiczówna i Zofia Ostrowska otrzymały stopnie po-

mocnika aptekarskiego, p. Ostrowska z odznaczeniem. Nadmienić należy, że zawód aptekarek w małych miasteczkach lub we wsiach parafialnych jest obok zapewnienia sobie bytu zasługą względem społeczeństwa.

— Na posiedzeniu komitetu wychowawczego wystawy higienicznej przyjęto i zatwierdzono projekt p. Szycówny, dotyczący urządzenia na wystawie pokoju z zabawkami dziecinnymi. Panny Werycho i Kelerówna prosiły komitet o zatwierdzenie zasiłku w sprawie wystawienia okazów szkoły freblovskiej, co komitet jednogłośnie uchwalił. P. Lucyna Zaleska z Krzywonosza pod Siedlcami nadesłała opis sposobów leczniczych używanych przez znahorów, p. Józefa Nowicka ze Pstrokonii dwadzieścia kwestyonaryuszów w sprawie odzieży ludowej, wypełnionych odpowiedziami. W zakresie tych objawień przyjęła również współudział p. Józefowa Jeziorańska. Typowe okazy dawnej higienicznej odzieży ludności wiejskiej postanowił komitet wystawić dla wykazania jej zalet z zamiarem odstręczenia włościan od kupowania tandety miejskiej przez co zarzucają się charakterystyczne nasze ubiory.

— Na wystawę stała Towarzystwa sztuk pięknych nadesłały p. p. Laura Sumińska dwa płótna: „Pieszczotka“ i „Dziewczynka z kotkiem“, Anna Bielińska dwie akwarele „Kościołek“ i „Dziewczynka.“

— Na wystawie nasion w Kijowie zasługuje na wymienienie wystawa dwóch sióstr, hrabianek Potockich, córek ś. p. Artura Potockiego, nadesłana z powiatu sandomierskiego. Sala wystawy udekorowana jest bardzo wdzięcznie drzewami, dostarczonemi bezpłatnie z włości p. I. Zaleskiej z Jasnogródką pod Kijowem.

— W Schronieniu nieuleczalnych paralityków w Warszawie przy ulicy Nowo-wiejskiej spełniała przez lat siedemnaście bez przerwy posługi najcięższe prosta dziewczyna wiejska, Aniela Izdebska, nie żądając żadnego wynagrodzenia. Niewyczerpana jej cierpliwość, dobroć tkliwa i skromność zjednały jej tak serca ludzkie, iż nazywano ją aniołem stróżem, przynoszącym ludziom ulgę w cierpieniach. Ludność tej części miasta znająca jej cnoty wyległa też licznie na jej pogrzeb a na trumnie złożono wieniec, ofiarowany dla widomego uczczenia jej cnót, łączących poświęcenie z pokorą. W Schronieniu Paralityków jest liczny zastęp dziewcząt takich, które z miłości bliźniego i ze szlachetnie pojętej pobożności pełnią tam bez żadnego wynagrodzenia służbę nieleką koło bezwładnych biedaków z poświęceniem nigdy nie zachwianem.

— Z początkiem przyszłego roku szkolnego rozpoczyna się w mieście naszym specjalne kursa handlowe dla kobiet, pragnących uczynić zawód ten chlebodajnym. Inicytorka, p. Józefa Siemiradzka, już skreśliła program, w którym mieścić się będą języki nowożytne, rachunkowość i korespondencya handlowa, towaroznawstwo, stenografia oraz prawo handlowe i wekslowe.

— W gronie osób, które zajmują się wysyłaniem z miasta naszego dzieci na kolonie letnie, znajduje się pań osiem, na których ręce składać można ofiary obok skarbnika tej instytucji, p. Aleksandra Czajewicza i w redakcyach pism peryodycznych. Panie te są Emilia Brzezińska, Wanda Higersbergowa, Irena Karłowiczowa, Jadwiga Krysińska, Leonia Natan-

son, Jadwiga Pawińska, Wiktorya Szadkowska, Jadwiga Werner, Wiktorya Kosmowska.

— Na ostatnim posiedzeniu komitetu Towarzystwa wzajemnej pomocy artystów muzycznych, oraz ich wdów i sierot przyznano wsparcie z funduszu ś. p. Emilii Mathiaszek sześciu wdowom po artystach muzycznych w wysokości od 20 do 35 rs., razem 140 rs.

— W istniejącej przy warszawskim Towarzystwie lekarskim kasie wsparć podupadłych lekarzy, oraz ubogich wdów i sierot po lekarzach Polakach, wyznania chrześcijańskiego, wakuje z zapisu ś. p. Jana Bączewicza pięć wsparć po rs. 90 każde. Kandydatki, pragnące otrzymać wsparcie rzeczzone, powinny być przedstawione komitetowi przez jednego z członków, z podaniem na piśmie wiadomości szczegółowych o wieku, położeniu rodziny i środkach utrzymania. Bliższych szczegółów udziela kancelarya Towarzystwa.

— Istniejący przy Towarzystwie pracowników handlowych i przemysłowych wydział pracowni handlowych rozwija się bardzo pomyślnie. Przybyło wiele robotnic uzdolnionych należycie w zakresie buchalteryi i korespondencyi handlowej w językach obcych. Pracownice te poszukują zajęcia i w tych dniach komitet Towarzystwa rozesłał do kilkuset firm handlowych i przemysłowych zawiadania o tem cyrkularz.

— Grono pań, mieszanek Lwowa, należących do Towarzystwa szkoły ludowej urządzi w niedzielę pierwszą po świętach wielkanocnych święcone na dochód szkoły ludowej.

— Szlachetnie pojmująca życie francuzka pani M. Samory, zamierza utworzyć w Paryżu teatr dla panien, to jest teatr przedstawiający jedynie uczciwe, czyste sztuki, któreby nie kałały wyobraźni młodej wyuzdanemi obrazami życia ludzi zepsutych. Należałoby by tu przeciw wszystkim uczciwym francuzkom bywać tylko w teatrach takich, bo kto smakuje w obrazach życia spodłonego, schodzi i sam na poziom istnienia niski.

— W Berlinie otwarta została wystawa produkcji kulinarnej łącznie z wyrobami cukierniczymi i piekarskimi, w gmachu osobnym mieści się oddział gastronomii; wystawczy jest blisko 500, oddział kulinarny przedstawia jak przyrządzane są potrawy w instytucjach dobroczynnych, oraz dla dziatwy szkolnej, dla żołnierzy. Mieści się tu i oddział historyczny a w nim obiad Ludwika XIV i uczta z szesnastego wieku. Panie, które są czynnymi członkami wystawy, odbywają kolejno dyżury.

— W Peszcie deputacya złożona z 1,000 kobiet wreczyła węgierskiemu ministrowi oświecenia, D-r Włastichowi, adres dziękczynny z powodu przypuszczenia kobiet do studiów uniwersyteckich.

— Angielskie panie postanowiły nabyć obszerną przestrzeń w okolicy lesistej i tam wznieść osadę dla samotnych kobiet z klas inteligentnych, nie dość zamożnych, aby mogły dom własny prowadzić, gdy drobne ich fundusze razem złączone, pozwolą im używać dobrobytu, do jakiego przywykły.

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż ministerium rolnictwa postanowiło urządzić w różnych punktach państwa siedemnaście suszarni chmielu. Suszarnie te będą dwójakie; jedne niższego rzędu, wznoszone wszędzie gdzie istnieje hodowla chmielu, drugie będą przedstawiać całe zakłady chmielarskie, prasowania, sortowania, opakowania i tym podobnych zachodów, a zbudowane będą w ogniskach produkcji chmielu. Zakładów tego rodzaju ma być wzniesionych cztery.

— Barak dla warszawskiej stacji ratunkowej, powozy, narzędzia i tym podobne przedmioty przybędą do Warszawy w połowie bieżącego miesiąca. Koszta przewozu pokryje p. Leopold Kronenberg.

— Towarzystwo przeciwwęzbracze rozpoczęło zamianę znaczków na dowód opłacanej składki za r. 1896. Nowe tabliczki tem się różnią od przeszłorocznych iż są większe i malowane nie szancowane jak dawniej.

— Grono naszych malarzy powzięło projekt zorganizowania wystawy przenośnej, przesyłając zgromadzone dzieła sztuki do większych miast królestwa, a rzecz to bardzo pożyteczna, bo poczucie piękne rozbudzić, to podnieść człowieka nad poziom tej realności, która tylko materialne strony życia człowieka uwzględnia.

— Mokotów, wieś położona bardzo blisko pod Warszawą, została rozparcelowana na drobne udziały, z których każdy jest już otoczony parkanem a na większej ich części budują się kamienice i wznoszą fabryki. Utworzono już i wybrukowano dwie nowe ulice, wiodące prosto do szosy, oraz dom dla służby kościelnej nowo otwartej filii parafialnej. Razem rzecz biorąc Mokotów staje się w gruncie rzeczy miasteczkiem.

— „Rodzina Połanieckich“ ma wyjść wkrótce w kilku przekładach francuzkich. W Paryżu w skutek tego autor ogłosił w szpaltach Figaro iż przekład powierzył wyłącznie p. Wodzińskiemu.

— Na wystawie portretów w Salonie artystycznym zgromadzone są utwory pendzla niemal wszystkich naszych portrecistów.

— Próby rozmowy telefonicznej odbywały się w tym czasie na linii Kraków—Wiedeń w krakowskiej stacji centralnej przy współudziale przedstawicieli krakowskich dziennikarzy. Rozmawiano ze stacyami w Ostrowie Morawskiej i Opawie z najlepszym skutkiem. Długość linii z Krakowa do Wiednia liczy 500 kilometrów.

— Stanisław Tarnowski zakończył odczyty o Matejce, których cztery wygłosił w sali głównej uniwersytetu. Studium to szlachetnie piękne wydane będzie w osobnej, znacznych rozmiarów książce.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: ark. 7-my powieści p. t. **Walka serca**, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

TREŚĆ: Zmartwychwstanie (rysunek).—Trzeciego dnia, przez Szczęsną.—Pogawędka, przez ??—Kędy droga? Powieść współczesna, przez Wandę Grot Bączkowską (dalszy ciąg).—Nowiny paryżkie, przez C. H. — Odczyty, przez Wł. Bukowińskiego. — Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: **Walka serca**, powieść, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego, ark. 7-my.—Przegląd mód. 20 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.